ROK II Nr. 34 (83) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 24 sierpnia 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



PSIA POGODA...



Krzyż, wystawiony ku pamięci poległych na „Vendemiaire" w Goury pod Cherbourgiem.

Wieści z Normandji

Polacy, zwiedzając Francję, gremjalnie czy indywidualnie, popełniają zwykle ten sam błąd: podróżują wzdłuż utartych szlaków. Można ich spotkać w Trouville, Vichy, Monte-Carlo, Paryżu, Biarritz. Ale Polak w Wogezach, Normandji czy Bretanji to już biały kruk. Tymczasem ileż pięknych rzeczy jest jeszcze do zwiedzenia, w tak bogato skarbami natury i sztuki wyposażonej prowincji francuskiej.

W zeszłym roku, zwiedzając „La Merveille" — jeden z cudów świata — Mont. St.-Michel — znalazłem na liście zwiedzających, wśród tłumu turystów, zaledwie kilka polskich nazwisk. A przecież twierdza i opactwo św. Michała powinny nas, Polaków, interesować nietylko z architektonicznego czy „malowniczego" punktu widzenia.

Te to refleksje przyszły mi do głowy w czasie wędrówki na, przepiękny w swej ponurej szacie, półwysep La Hague . Trudno o coś bardziej imponującego i malowniczego. A jednak turyści, Polacy, należą do wyjątków. I ręczę, że na tysiąc moich ziomków podróżujących po Francji, znajdzie się może jeden, który wogóle coś o tym uroczym zakątku Normandji słyszał. To też postaram się pokrótce go opisać.

Północny kraniec wielkiego półwyspu, jakim jest Normandja, ciągnie się wklęsłym łukiem od przylądka Barfleur do przylądka La Hague. Pośrodku i wewnątrz tego łuku leży Cherbourg ze swą kolosalną redą, arsenałem, portem wojennym i przystanią parowców transatlantyckich. Dalej, na zachód, właśnie w kierunku La Hague, rozpoczyna się półwysep tejże nazwy, omywany z dwu stron przez burzliwe fale La Manche'u, zlewające się z bezkresem wodnym Atlantyku.

Przylądek La Hague — skalisty cypel, wystający w morze, odrzuca hen w dal swój pomiot, w postaci groźnych raf i skał, sterczących tu i owdzie z wody, a będących postrachem żeglarzy. Na całem blisko sto kilometrów długiem wybrzeżu zaledwie jedna malutka przystań w Goury, dostępna tylko dla kutrów rybackich. Wokoło nic, tylko skały dzikie, postrzępione, spadające stromo do morza. Niektóre z tych „falaises" mają do 130 metrów wysokości. Inne znów wyglądają cudacznie, podobne do kąpiących się w wodzie ichtjosaurusów, czy innych przedpotopowych jaszczurów, których pokryte kamienną łuską grzbiety chowają się w czasię przypływu, stanowiąc tem groźniejsze niebezpieczeństwo.



Okręt „Europa" z „United States Line" zawija do portu w Cherbourgu. Pasażerowie, którym zależy na czasie, będą mogli przenieść się aeroplanem, startującym z pokładu okrętu do Paryża w niespełna dwie godziny.



Robotnicy portowi — studjum fotograficzne.

Największą osobliwością półwyspu są groty morskie w Jobourg. Szturmując tysiące lat skalną opokę, ocean podmył ją od spodu, drążąc długie korytarze, kominy, groty, osypiska. Schodzi się do nich istną orlą percią, wijącą się na zboczu prostopadłej góry. Gdyby nie przeciągnięty przez Touring-Club stalowy kabel, zejście byłoby niemożliwością. Ale i tak jest trudne i dla osób podlegających zawrotom głowy, niewykonalne.

Inne niebezpieczeństwo czyha ze strony morza. Gdy zmęczony turysta po olbrzymich głazach, wokół których huczy i bryzga pianą ocean, dostanie się wreszcie do groty, winien uważać, aby go tam nie zaskoczył przypływ. Inaczej biada. Morze zakrywa zdradziecko otwory, napełnia kominy i korytarze. Odwrotu niema, a jeżeli jest, to tak karkołomny, że dostępny chyba jednym kozicom.

Samych grot jest ilość dość znaczna, ale cztery tylko dostępne są dla turystów i to wytrawnych. Są to groty „Wielka i mała kościelna", „Grota czarodziejek" (raczej należałoby ją nazwać grotą czarownic, tak ponure czyni wrażenie) i „Grota - Lwa". Obok, niby zwaliska ostatniego grodu Atlantydy — chaos olbrzymich, kąpiących się w morzu głazów.

Wysoko, na górze semafor (stacja sygnałowa) a dalej — wzdłuż zachodniego brzegu, ciągnaca się grzbietem urwiska ścieżka do Auberville. Widok — jeden z najpiękniejszych na świecie, przepotężny w swej niepohamowanej grozie, a jednocześnie tak barwny i kontrastowy, że oko wprost nie wie, co wpierw podziwiać. Czy zielone hale, na których pasą się piękne okazy krów „Jersey", czy niesamowitą grozę pionowych skał, czy rozpostarty w dole ocean, raz ledwie pomarszczony, błękitny i leniwy, drugi raz czarny, groźny i pianą przybrany.

Wzrok sięga aż po wyspę Aurigny (Alderney) — swego rodzaju osobliwość. Zamieszkała przez Francuzów należy do Angji. Dwie sąsiednie — Guernesey i Jersey, są identycznie „wydziedziczone". Na tej drugiej schronił się swego czasu wygnany z Francji, Victor Hugo.

Ostatnią placówką lądu stałego, wystawiony na straszliwe wichry i rozszalałe fale cypel La Hague, kończy się daleko w morze wysuniętą wedetą: kilkaset metrów od brzegu sterczy z wody na malutkiej skalistej wysepce smukła wieża latarni morskiej. Wokoło rafy, kamienie podwodne i niegościnny, stromy brzeg. A dalej straszliwa cieśnina Le Raz Blanchard, skalisty, bezdenny wąwóz wodny między La Hague i Aurigny, nie ustępujący w niczem słynnemu Raz de Sein — bretońskiemu pożeraczowi okretów. Biada, kto niebacznie w wiry jego wpadnie.

To też stacja ratunkowa w Goury, dziś zaopatrzona w najnowsze środki ratownicze i dwuśrubową szalupę motorową, posiada w swej wielkiej hali szereg tablic, na których uwidoczniona jest bohaterska praca jej załogi

Tuż obok skromny krzyż, ofiarowany przez „Action Française". Kilka prostych słów głosi o katastrofie łodzi podwodnej „Vendemaire", którą w r. 1912 pochłonął Raz Blanchard. Cała załoga zginęła wówczas na stanowisku, śmiercią marynarzy, a łódź snać zawinęła do podwodnej przystani Neptuna, bo, mimo licznych sondowań, nie znaleziono jej kadłuba.

Na latarnię morską można dostać się łódką, opływając skały. Ale powrót często pozostaje pod znakiem zapytania. Morze tu jest kapryśne, jak piękna kobieta. Rankiem ubiera się w swą najpiękniejszą, błękitną szatę i leniwo igra sobie u stóp latarni. Aż tu nagle, nie wiedzieć skąd, wiatr huczeć poczyna, nadbiegają wielkie, butelkowo - zielone, obramione grzebieniami piany i wściekłe zwały i taniec się zaczyna. Trwa to czasem całemi tygodniami i wysepka z latarnią odcięta jest od świata. Bywały wypadki, że latarnikom groziła śmierć głodowa. A i tak służba w latarni, trwająca dni dwadzieścia, do przyjemnych nie należy.

Inne niebezpieczeństwo stanowi tu nader częsta na tych wodach mgła. Słońce niknie nagle, jakby przesłonięte gazową firanką. Niebo zlewa się z wodą, tworząc jedną brudno - szarą plamę. Smukła sylwetka latarni zaciera się... ginie. I jedynie ponure, dreszcz budzące, basowe porykiwania syreny mgłowej, powtarzają się co dwie minuty, uprzedzając okręty o grożącej im zagładzie.

Za to, gdy słońce znów zabłyśnie, pejzaż wykwita w całem pięknie swej niezrównanej szaty. Morze staje się szafirowe, skały mienią się różowo lub czerwono, na horyzoncie dymy olbrzymów transatlantyckich układają się w fantastyczne kształty. A wiatr — król tych obszarów, rozwiewa je powoli, jakby chcąc dać poznać światu, że wszystko to puch marny, i że największe wynalazki ludzkie są niczem wobec potęgi żywiołu. *J. G.*



Pancernik „Provence" — według obrazu utalentowanego malarza, J. L. Paguenod.

JAN IGNACY TARG

Virtuti Militari

Chłopcem jeszcze będąc odwiedzałem skrycie pewnego powstańca, który w wielkiej tajemnicy, przegawędziwszy ze mną uprzednio kilka godzin pokazał mi jakąś oznakę ojca swego, a żołnierza księcia Józefa. Dziś już nie pomnę dziejów zdobycia tego orderu.

Ale ilekroć razy przestępowałem progi bramy przy ul. Kanonji, gdzie dostojny rozmówca mój, spokojny wiodąc żywot, czarował opisami przeżyć własnych i ojca, tyle razy wzruszeniem przepełnione mając serce, błogosławiłem chwile sądzone mi spędzić na lekcjach ducha polskiego, polskiej sławy, i triumfu polskiego oręża.

Były to doprawdy niezapomniane godziny długich wieczornych rodaków rozmowy.

Zatarły mi się w pamięci barwne starca opowieści, którym tak wiele w przeszłości zawdzięczałem. Wiem tylko jedno, że Pan Maciej, wspominając order, czczony przez niego — jak relikwję, usta miał pełne natchnionych słów, a oczy zmącone i wyblakłe, łzą nabiegłe.

Zmarło mu się też przed wielką wojną. Życzeniem powstańca było, by wieko trumny zamknąć wraz z konfederatką i krzyżem ojcowym, co spełnione zostało, zgodnie z jego ostatnią wolą.

A ja tak gorąco pragnąłem, choć przez krótki czas, mieć go przy sobie, pieścić wzrok szarfą błękitną i złotym orderem.

Nawet nie wiem dlaczego. Przecież nie rozumiałem jeszcze w owym czasie, ani tradycji, ani znaczenia krzyża za cnotę wojenną.

Przypuszczam, że powodowało mną dziecinne wówczas upodobanie do wszystkiego co złote i nieuchwytne.

Dziś wiele, wiele lat mnie dzieli od tych chwil dzieciństwa, jak powiada poeta „sielskiego-anielskiego", a potem młodości „górnej i chmurnej".

Doczekałem czasów, kiedy Naczelny Wódz, wskrzeszając order „Virtuti Militari" i kapitułę, w rocznicę powstania styczniowego w 1919 r., powiedział:

„Chciałbym, aby ci, co pierwsi powołani są do trudnego i odpowiedzialnego sądu o bohaterstwie swych kolegów, przejęli się i związali z duchem najofiarniejszego, a zarazem najmniej ubranego w zewnętrzne pozory chwały ruchu narodowego".

Doczekałem chwil, gdy nie na jednej piersi widzieć mogę przypięty krzyż „Virtuti Militari", symbol wielkiego czynu, dokonanego z narażeniem życia.

Doczekałem chwil, kiedy mogłem na własne oczy podziwiać fakty takiego niezwykłego męstwa, że gdyby nie naoczni świadkowie, to czytający, kazaliby opowieść między bajki włożyć. O, bo, nie masz kresu bohaterstwa, kiedy wolności zagrożone istnienie, kiedy za wroga zdradziecki strzał, odwetu pragnie żołnierska zraniona ambicja.

Długąby można opowieść snuć o wielkich czynach polskiego oręża, długie innym przekazywać dzieje hartu i odwagi, historje ludzi, którzy bagnetem, czy szablą wyryli sobie trwałe imię w księdze wyróżnionych „Virtuti Militari".

Ograniczę się tylko do kilku wspomnień, przeżytych wzniośle i głęboko.

Było to nad Berezyną. Na odcinku Berezyna — Żerdź usadowił się 12 p. piechoty. Pozycja ta była względnie spokojna. Rzadko próbowano przeprawy przez rzekę, ze względu na jej głębokość i szerokość. Nieprzyjaciel milczał zawzięcie. Styczność z nim ograniczała się tylko do sporadycznej wymiany pojedyńczych strzałów.

Za wszelką cenę dowództwo pułku musi posiąść wiadomości o sile i obsadzie nieprzyjaciela, po drugiej stronie Berezyny.

Jest zbiórka 6-ej kompanji, niespodzianie zjawia się dowódca pułku. Chłopcy! — rozlega się donośny głos dowódcy, — kto na ochotnika przeprawi się przez rzekę i zbada pozycję nieprzyjaciela — wystąp!

Szer. Andrzej Chrząszcz, niespokojny duch, a chluba kompanji, nie wytrzymał w szeregu. Wrzasnąwszy: „na rozkaz"! — zgłosił gotowość spełnienia życzeń pułkownika, a dobrawszy sobie szeregowców Kozika i Szajewskiego, był do dyspozycji w każdej chwili.

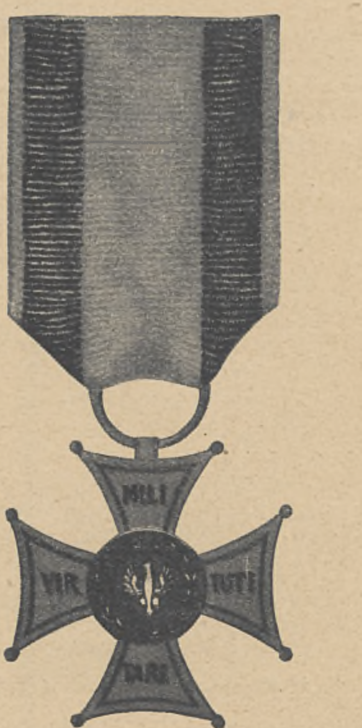
Zmierzcha się.

Po Berezynie suną bezszelestnie dwie małe łódki, t. zw. „czajki". Powaga sytuacji wymaga przeraźliwej ciszy. Tylko lekkie musnięcia wioseł o wodę zdradzają jakoweś poruszenia.

A gdy tak ujechali do połowy celu, posypał się grad pocisków. Ale patrol za chwilę był już po stronie wroga. Prze po wydmie piaszczystej długości 1500 kroków na czele, z Chrząszczem. Dopada wrogiej placówki. Wywiązuje się krótkotrwała walka. Nadchodzący na pomoc patrol rosyjski zostaje odparty. Jako trofeum zdobyty jeniec i moc wiadomości. Zasługa to szer. Chrząszcza. Szybko, zwinnie zbiera swoich ludzi i jeńca i tą samą drogą, pod silnym ogniem, przeprawił się z powrotem. Jakaż była radość wśród oficerów i kolegów. Chrząszcza porwano na ramiona, obnosząc jak bohatera. Inna go wkrótce czekała nagroda. Za swe niezwykłe męstwo i odwagę został odznaczony krzyżem „Virtuti Militari". Potem różne przechodziliśmy koleje, dzieląc smutek odwrotu i radość ofenzywy.

Pierzchający w popłochu od bram Warszawy czerwony najezdzca stawiał od czasu do czasu energiczny opór.

Dn. 28 sierpnia 1920 r. wrzał gorący bój pod Wawrowem. Raz po raz odpieraliśmy silne ataki sowieckie.



W tym czasie szer. Franciszek Kubias z 1-szej kompanji, znany dotąd wszystkim, jako niezdarny i niezbyt bohatersko nastrojony żołnierz, dowozi amunicję do stanowisk karabinów maszynowych. Już dwa razy dźwigając po cztery skrzynki naraz, zasilił c. k. m. nabojami. A kiedy poraz trzeci miał spełnić swój ciężki obowiązek, pocisk nieprzyjacielski zmiażdżył mu lewą dłoń. Szer. Kubias nie poddaje się nieszczęściu, nie czuje bólu, przewiesza dwie skrzynki na pasie przez ramię, a pozostałe dwie chwyta w zdrową prawą rękę i rzuca się naprzód, niewraźliwy na padające tuż blisko pociski. Pozostało mu jeszcze kilkanaście kroków. Ale trafiony ponownie, tym razem śmiertelnie pada martwy niedaleko swej „maszynki", którą do ostatka chciał wiernie obsłużyć.

Niestety, przypłacił to życiem. Czyn jego jednak przeszedł do historji w chwale niezwykłego męstwa i żołnierskiej wytrwałości, nagrodzony, po jego śmierci — najdumniejszą i najzaszczytniejszą oznaką, krzyżem „Virtuti Militari". Czynem Swoim porwał kolegów.

Bitwę wygraliśmy. Jakże się nasze zdanie zmieniło o niezdarnym szer. Kubiasie.

Nie będę jednak absorbował uwagi Szanownych Czytelników wspomnieniem bohaterstwa polskich żołnierzy. Uczynię to może innym razem i w innych okolicznościach.

Teraz chcę patos wielkiego czynu zastąpić zarysem przeszłości krzyża. Albowiem każdy medal ma dwie strony. Ma go też i order cnoty żołnierskiej.

Był to rok 1792. Dni niepodległości Polski były policzone. Chodziło tylko o to, kto wpierw ma dokonać rozbioru. Jakiemiś resztkami honoru narodowego walczył król z Rosją. Po zwycięskiej bitwie pod Zieleńcami król Poniatowski rozdaje pierwsze oznaki „Virtuti Militari". Drugie z kolei nadanie nastąpiło po powstaniu kościuszkowskiem. Odtąd dzieje tego cennego krzyża są iście męczeńskie. Targowica znosi Virtuti, sejm grodzieński przywraca, drugi rozbiór kasuje, Księstwo Warszawskie restytuuje. Aż wreszcie podczas powstania 1831 r. zostaje nadawany najdzielniejszym. Ale jednocześnie Rosjanie, chcąc w oczach Polaków zbeszcześcić co najdroższe pamiątki, rozdają wszystkim gubernatorom, policmajstrom, paszkiewiczom, wielkim księciom — wielkie wstęgi orderu za „uśmirenie miatieżnikow". A ku ostatecznemu pognębieniu ducha polskiego na błękitno-czarnej wstążce nadają medale „za wziatje pristupom Warszawy". Bolesne to były dnie. Minione i niepowrotne. Dziś mamy wskrzeszony order, którego „znaczenie każdy prawdziwy żołnierz rozumie i odczuwa doskonale". Tak mówił o tem pierwszy rozkaz.

Ja mam to głębokie przekonanie, że cała Polska rozumie i ceni wartość krzyża, otrzymanego w krwawych bojach. Nigdy nie był nadawany zbyt hojnie. I dziś jest rzadkością.

Przypominam sobie moment pewnej dekoracji, która na zawsze zostanie mi w pamięci.

Wraz z innymi dzieliłem losy rekonwalescenta w szpitalu Ujazdowskim. Był to listopad 1920 r. Nuda szpitalnych dni i smutek za straconym zdrowiem czyniły atmosferę bardzo przygnębiającą. Na nic się zdały wszelkie wysiłki sióstr. Bo taki nastrój nigdy nigdy nie można zmienić, chęcią czy uśmiechem, gorącem pragnieniem czy wysiłkami. Nie, to samo przechodzi. Mija, jak wszyst-

ko na ziemi zmienne i w zapomnienie idące. Ale są chwile, któremi można budować jakieś szklane domy, gmachy radości, entuzjazmu. Tyle mają w sobie twórczego pierwiastku, tyle emocjonalnego napięcia.

Dnia tego zbudził się ranek, jak wszystkie poprzednie, zachmurzony, szary, ponury. Nawet się gadać nie chciało. Wtem niespodziany ruch. Na salę wchodzi z pół kompanji sanitarjuszy. Zawrzała praca. Nikt nic nie wiedział, na co, dla czego, w jakim celu. Dopiero ordynator oddziału obwieścił radosną wieść, że gościć będziemy u siebie Komendanta

Punktualnie o godzinie 12, tuż, pod naszemi oknami, rozległ się hymn narodowy, i za chwilę wszedł do sali Marszałek Piłsudski. Oko moje jakby przywarło do postaci Wodza. Śledziłem jego każdy ruch. Uwagę moją rozproszył głos adjutanta, wywołującego nazwiska odznaczonych. Komendant podany sobie krzyż w dłonie wziąwszy, zbliżył się do najbliższego łóżka. Na sali wprost śmiertelna cisza. Nachylony nad rannym, jakby w zaufaniu mówił cicho o zasłudze, którą nagradza. Męski uścisk dłoni i krótka rozmowa. Marszałek pyta o okoliczności otrzymania rany, przebieg choroby, o zamiary na przyszłość. Słucha z wielkiem skupieniem, jak dobry ojciec dziecko, w przełomowej dlań chwili

I dalej chodził od łóżka do łóżka, dekorując za cnotę żołnierską.

Wreszcie daje znak do odejścia. Bądźcie zdrowi, chłopcy! — Czołem, Panie Marszałku!

Nie wytrzymały długo hamowane nerwy. Tu i ówdzie rozlega się szloch, szloch, którego spazm miał w sobie jakąś dotąd nieznaną nutę.

Gdzieś, w zakamarkach jestestwa budziła się nowa ochota do życia.

Jakże symboliczne wobec takiego zjawiska są słowa poety:

„Krzyżu Virtuti! Nie jesteś orderem!
Tobie nie zrówna żaden męstwa znak!
Nad grzmiących burzą polskich serc kraterem
Dwa godła wiały: ty i orli ptak!
On ciebie w szponach dzierżył w krwawej dobie
I w jeden symbol z twą się sławą splótł,
Krzyżu Virtuti! Lud cię nosił w sobie,
A ty na orła pasowałeś lud!

ZYGMUNT KAWECKI.

Mój anonimowy telefon

(Poświęcam Dręczycielce).

Znacie zapewne to niemiłe uczucie, kiedy wezwani dzwonkiem telefonicznym — podnosimy słuchawkę — wymieniamy „Halo! halo!" — a ten ktoś... odkłada słuchawkę.

Jeżeli ten anonimowy sport powtarza się parę razy na dzień — wtedy dochodzimy nawet do pewnej wprawy w komunikowaniu się z tym anonimem, tak że sprawa owa zaczyna nabierać dla nas swoistego posmaku i swoistego zabarwienia. I tak:

Dzwonek.

Podnoszę słuchawkę — i wiem, że to ta milcząca bestja. — Podnoszę — ale nie mówię „halo". Bestja też milczy z tamtej strony drutu — i czeka. Potem kładzie słuchawkę — albo powolnie — albo zdecydowanie trywialnie.

To jeden sposób.

Drugi.

Dzwonek. Podnoszę słuchawkę — i zamiast mówić głosem, przysługującym mi z płci i charakteru — piszczę jak soprano-bambino — albo soprano-eunucho. — Proszę, proszę. — Bestja milczy — milczy — i odkłada słuchawkę. Ale już można było zrozumieć ze sposobu odkładania, że bestyjstwo się zirytowało.

To drugi sposób.

Trzeci.

Dzwonek. Podnoszę słuchawkę — i przykładam do ust, przygotowany już zawczasu grzebień z bibułką — na którym to instrumencie — wydaję jakiś dźwięk — nie dający pojęcia, czyj to głos się odzywa.

Bestyjstwo tym razem jeszcze dłużej czeka, niż zwykle — a potem cichuteńko — i powoluteńko odkłada słuchawkę.

To trzeci sposób.

Ale jest jeszcze jeden — na który ciężko się zdecydować — wymyślanie i klęcie.

No dobrze.

Ale powiedzcie mi, czy wykonywanie jakiejś anonimowej telefonizacji może być imputowane istocie przyzwoitej i szczerej? Czy moglibyście, w razie gdyby wam na tem *bardzo* zależało — sprawdzać telefonem czy ktoś jest w domu — i odkładać słuchawkę, nie podając swego nazwiska, albo też fingując inne, lub „pomyłkę"?

Jeżeli jesteście kobietami — może sposób ten w wypadku *amoroso* uznałybyście za zło konieczne — ale jeżeli jesteście mężczyznami — to świństwo!

Miałem otóż szczęście — otrzymywać w pewnym sezonie życia takie telefony

I patrzeć, co się stało! Jestem istotą dobrotliwą — normalną — zarówno w grzechu, jak w cnocie — nie umiem się długo na nikogo gniewać — ani nieznam zawziętości. Czasem mnie coś zgniewa — ale to, na krótko — fu-fu!... i już po wszystkiem. Jeżeli w gniewie komuś dokuczę — to potem tarzam się przed nim — i miodzę mu życie jak mogę.

Ale tu mnie zmaltretowała — ta uporczywość i cierpliwość telefonizacji anonimowej — i zastanawiałem się nad sposobami odgadnięcia, kto to może być zacz?

Otóż — jest, uważacie, na jednej pryncypalnej ulicy warszawskiej, mleczarenka, w której można pić mleko z krowy. To nie znaczy, że w zakładzie jest to pożyteczne stworzenie — i każdy może, poczynać sobie z nią, jak dziecko z matką. To znaczy, że mleko z tej mleczarenki nie jest wodą zabielaną mlecznie — tylko tak, jak wydobyte jest z krowy, w tym samym stanie podawane jest społeczeństwu do przyjmowania.

Naumyślnie tu o tem wszystkiem piszę — aby się przed wami pochwalić, że pijam mleko, że lubię pić mleko — i wogóle mam duże skłonności do życia au naturel.

W tej to mleczarni, z nosem wsuniętym w gazetę, siedzę, obracając łyżeczkę w „roztrzepańcu" — kiedy nagle słyszę — że ktoś wszedłszy prędko — prosił o pozwolenie telefonowania.

Słyszę: wymienia numer mego telefonu. Spojrzałem z poza gazety — i widzę:

— Duża, zupełnie wyrośnięta kobieta — a raczej dama — czarno ubrana — ale nie w żałobie — włosy płowe — cera jutrzenki — maniery first klass.

Trzeba wam jeszcze wiedzieć, że zamiast grać na grzebieniu — w ostatnich dniach brałem trąbkę do ust — i że w ten sposób odpowiadałem na wszystkie telefony. Kto chciał mówić, temu to nie przeszkadzało. Zwymyślał mnie, że robię warjata ale rozmówił się. Ale kto nie chciał mówić — ten odkładał słuchawkę, nie wiedząc, czy to *ja* byłem w telefonie — i czy to *mnie* tak chwalebnie życie obrzydza.

Otóż — sekundalnie pomyślałem sobie tak:

— Czekaj potworze, jeżeli to jesteś ty, moje Anonimko, to jak ci tu odtrąbnę — to się zmieszasz — i zdradzisz.

I — uważacie — jak tylko ona wymieniła mój telefon — tak ja — poza gazetą trąbka w ząbki i tratata.

Osoba w pierwszej chwili nie wiedziała— gdzie trąbią — czy w telefonie — czy w lokalu — widziałem to po ruchu jej głowy— więc ja drugi raz, ale zdrowiej

Trata-ta-ta!

Na to, moiściewy, ona kołnierz od palta pod same oczy — a nogami cip! cip!... i z lokalu! Zmiata!

Zatrąbiłem za nią po raz trzeci — ale nie poleciałem.

Wstyd mi było — że się tak skonfundowała — no — i nie chciałem paść się jej zażenowaniem.

Teraz sprawa stoi tak: kto jest ta osoba *wiem* — bo z różnych szczegółów — zdołałem o niej i w mleczarence — i „na mieście" — dowiedzieć się, czego chciałem. Wiem, proszę ja was, jaki numer jej telefonu w biurze — i u niej w domu. Czy myślicie, że podszedłem kiedy do telefonu — aby jej życie kontr-obrzydzić? Nie!

A dlaczego?

Dlatego — że od tej pory niemam już *tych* anonimowych telefonów — od niej — ale dałbym wiele, gdyby się znowu zaczęły.

Macie konsekwencje meską!



STANISŁAW PORAJ.

Z pobytu p. Prezydenta w Estonji

(Korespondencja własna.)

Tallinn, dn. 12 sierpnia.

Gdy łódź motorowa Riigivanem'a Estonji przywiozła na wybrzeże Pierwszych Obywateli obu państw, zgromadzony na przystani tłum powitał Prezydenta Mościckiego nie gromkim, tysiąckrotnym okrzykiem, ale poważnem, dostojnem skupieniem, odsłonięciem głów w uroczystem niemal milczeniu.

Nie dziwmy się temu Estończycy nie są wybuchowymi synami Południa; myślą i mówią zwolna, z rozwagą, z zastanowieniem; dusza ich jest jak lód, zimna napozór, ale czysta i przejrzysta jak kryształ, a potrafi grać tęczą najpiękniejszych uczuć, gdy roziskrzy się w słonecznych promieniach przyjaźni. Ta dostojna powaga więc — niby skupienie zadumanych lasów północy, odzywających się zrzadka jeno głębokim poszumem — cechowała przyjęcie Prezydenta Rzplitej na wolnej ziemi estońskiej.



Imponująca defilada Kaitseliitu przed Prezydentem Rzplitej Polskiej.

Widziało się ową powagę przedewszystkiem i głęboką świadomość, zrozumienie niezwykłego momentu na każdej z 7 tysięcy twarzy żołnierskich, gdy od portu, poprzez ulice starego Tallinna, aż do pałacu na Kadriorgu, na przestrzeni czterech kilometrów, wyciągnięto dwuszpaler wojskowej asysty. I znów nie dziwmy się temu: ów surowy, powściągliwy w gestach naród północy nie ma w liczbie swej ani jednego analfabety, nie ma jednostek narodowo nieuświadomionych. Każdy żołnierz jest tam obywatelem, a iluż obywateli, jeszcze albo też już wolnych od służby wojskowej, należy do samoobrony narodowej „Kaitse - liitu", rywalizującego z regularnem wojskiem nie tylko wyćwiczeniem i sprawnością, ale i zaopatrzeniem we wszystkich rodzajach broni.

Prócz owych siedmiu tysięcy wojska i „Kaitse - liitu", prócz dziatwy szkolnej, witał Prezydenta Mościckiego na ulicach Tallinna tłum, conajmniej pięciokrotnie od szpalerów wojskowych liczniejszy, — razem zgórą 40, a bodaj 50 tysięcy ludu. Cyfr tych nie należałoby przytem brać pod kątem tylko arytmetycznym: należałoby raczej zważyć, że stanowi to około 40 proc. całego narodu, a więc w naszych stosunkach wyrażałoby się to miljonem dwukroć stoma tysiącami, zaludnieniem zgórą całej stolicy kraju.

Gdybyśmy zaś mieli mówić o defiladzie, jaka się w drugim dniu gościny odbyła na tallińskim placu Wolności, gdzie przez godzinę przeciągały przed obu Prezydentami przynajmniej poczty sztandarowe wszystkich bez wyjątku pułków wojska i samoobrony narodowej Estonji, — należałoby znów brać pod uwagę, że przed Dostojnym Reprezentantem Rzplitej przeciągnęła w karnym ordynku, w niesłychanie sprawnej postawie żołnierskiej zgórą dziesiąta część całej siły zbrojnej, zaprzyjaźnionego z nami kraju.

Nietylko jednak wojsko i władze państwowe witały w Tallinie p. Prezydenta Rzplitej. Witał go również cały naród, w osobach burmistrzów wszystkich miast, prezesów wszystkich samorządów ziemskich i przedstawicieli gmin, których wybór ludności na stanowiska te powołał. Powitanie to odbyło się w starej a pięknej sali tallińskiego ratusza, pamiętającego wiek szesnasty, gdzie w gablotach spoczywają pożółkłe dokumenty z podpisami królów Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Imię zwłaszcza dobrego króla Stefana zapisało się złotemi głoskami w dziejach estońskiego narodu. Toć-że to on pierwszy z panujących stanął w obronie uciemiężonego pańszczyźnianego chłopa, przeciw uciskowi obcojęzycznych, nadbałtyckich baronów.

Czyż dziw, że do owych pamiętnych chwil nawiązuje przemówienie swe przewodniczący związku organizacyj samorządowych p. Kuris, by stwierdzić, że one to właśnie wraz ze wspólnie przeżytą niewolą moskiewską stanowią najtrwalsze podstawy przyjaźni polsko-estońskiej.

Ileż zresztą wspomnień ciśnie się na myśl w starym ratuszu, na widok owych pożółkłych pergaminów królewskich, na widok pamiątkowego albumu, gdzie na pierwszej karcie widnieje podpis ostatniego cara moskiewskiego Mikołaja! Dziś, w tym samym albumie, na białej karcie kładzie podpis swój, profesor Ignacy Mościcki, Prezydent Wolnej i Niepodległej Rzeczypospolitej, a obok, na sąsiedniej zaraz — doktór Otto Strandman, Riigivanem wolnej ziemi estońskiej! Te dwa podpisy, choć nie poprzedzają ich żadne dyplomatyczne teksty,



Pan Prezydent Rzplitej witany w porcie tallińskim hymnem narodowym.



Pałac na Kadriorgu, w którym przebywał Pan Prezydent Rzplitej.

to akt najszczerszego zbratania obu wolnych, obu niepodległych dzisiaj narodów.

Symbolem tego zbratania są również dwa sztandary najwyższych dostojników obu państw, u wspólnego masztu, łopocące na wietrze nad pałacykiem w Kadriorgu.

Poprzed białym, barokowym pałacykiem na Kadriorgu, rozciąga się czworoboczna, zielona polana, z trzech stron bramowana staremi, zwartemi drzewami parku. Rankiem, gdy samochód obu Prezydentów zajeżdżał na podjazd, u krawędzi polany stanęły w podkowę szeregi żeńskiego kaitse - liitu, w jasno - błękitnych mundurowych sukienkach, z białemi chusteczkami na głowach.

Nocą zaś, w czasie rautu u Prezydenta Strandmana, tamże, na krawędziach polany rysuje się podkowa złocistych ogni. — To męski kaitse-liit z płonącemi pochodniami w ręku przyszedł złożyć hołd Dostojnemu Gościowi Estonji.

A przecie ów barokowy pałacyk na Kadriorgu zbudował tu wszechpotężnym swoim rozkazem car moskiewski, Piotr Wielki, dla umiłowanej małżonki, Katarzyny I. Dotąd jeszcze w sali recepcyjnej kadriorskiego pałacu widnieją u stropów złote monogramy cara i carycy.

Ów radosny, uroczysty nastrój próżno stara się stłumić deszcz, jaki wisiał w powietrzu przez cały ranek drugiego dnia polskiej gościny w Estonji.

Aleć marynarka nie boi się wody. „Polonia" stanęła w porcie, tuż przy brzegu; przystroiła się tysiącem różnobarwnych lampek elektrycznych, rysujących w mroku nocy kontur okrętu; wewnątrz jaśnieje cała białem światłem elektryczności. Tak się też odbywa nasze polskie przyjęcie — pod deszczem ulewnym i na bełkocącem falami morzu.

Choćby się więc nie jakiś tam cyklon, ale wszystkie potencje piekielne sprzysięgły, nic nie zmąci szczerej, beztroskiej zabawy. W rzęsiście oświetlonym okrętowym salonie zastawiono gościnnie stoły; ze strugami deszczu ubiegają się o lepsze strumienie szampana, a gdy potem orkiestra okrętowa zagłuszy poświst wiatru, nikt już doprawdy o ulewie nie myśli. W tanecznym rytmie piękne Estonki zapominają o wszystkiem, co nie jest granatowym mundurem polskiej marynarki, co nie lśni się od orderów świty p. Prezydenta.

A najważniejszem wydaje się to, że bezpośrednio z estońskiego wybrzeża, przebiegłszy kilkanaście stopni okrętowego starpu, stanął każdy z zaproszonych na pokładzie polskiego okrętu, będącego przecież cząstką terytorjum Rzplitej. Poprzez siwe fale Bałtyku Estonja i Polonja podały sobie bezpośrednio ręce do bratniego uścisku, którego nigdy nic ani nikt — jak wierzyć wolno — nie zerwie.

To właśnie wydaje się być najważniejszym rysem charakterystycznym owych niezapomnianych dni polskiej gościny w Estonji.



Pan Prezydent Rzplitej przyjmuje korpus dyplomatyczny w Tallinie.



Sędziwy gazda z Lipnicy Wielkiej na Orawie, który w r. 1918 jeździł na czele delegacji do Paryża w sprawie Spisza i Orawy, został udekorowany z okazji 10-lecia przyłączenia Spisza i Orawy orderem „Polonia Restitutae".



W uroczystościach obchodu dziesięciolecia „Cudu nad Wisłą" brali udział delegaci Fidac'u — prezes płk. Abbot i J. Granier, którzy wygłosili piękne i nacechowane szczerą serdecznością przemówienie na placu Marszałka Piłsudskiego.

Co słychać na świecie

Chciałbym doprawdy chociaż w jednym tygodniu móc nie mówić o Niemcach, zapomnieć o nich — zasnąć w cichym kwietyzmie. Ale skądże! jest to zgoła niemożliwe, gdyż nawet w wypadku, kiedy sprawa, którą Niemcy wywołali zdaje się być załatwiona, a incydent zlikwidowany na drodze wymiany not — nowa fala zagadnień wnet się wyłania, sytuacja staje się nie do zniesienia — i znów na całym świecie zainteresowanie do Niemiec góruje ponad wszystkie inne problematy. Bo nic w tem dziwnego. Od czasu kiedy zajęto wobec Niemiec stanowisko pojednawcze — a kurs ten w samej rzeczy datuje się od okresu tak namiętnie zwalczanych przez Niemcy traktatów — apetyty Germanji wzrastały z każdym dniem.

Dziś Nadrenja, jutro Saara, korytarz, kolonje... Któż może przewidzieć na czem się skończy... I dziwią się pacyfiści wszelkiego autoramentu, przecierają oczy i wnet wstydliwie opuszczają je, jak dzieci złapane na jakiej „wyspie".

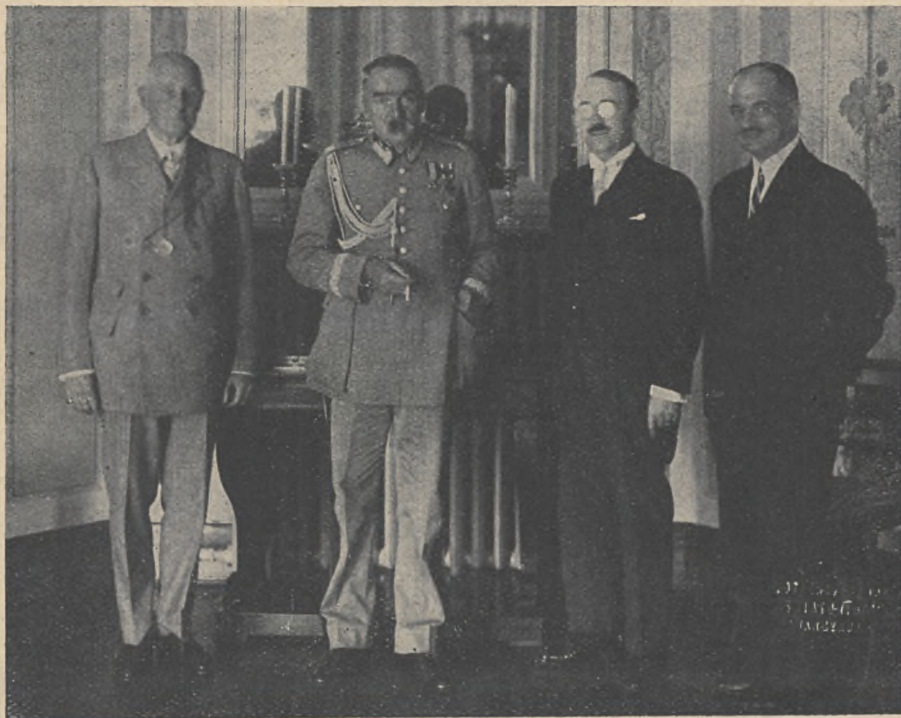
„Zdziwienie Francji z powodu zachowania się Niemiec w chwili wyzwolenia Nadrenji, oraz obecnie, po mowie Treviranusa pochodzi stąd, że Francja chce widzieć Niemcy innemi, niż są naprawdę". („Tribuna").

Tym razem, w wypadku incydentu z powodu mowy Treviranusa, zdziwili się Niemcy, gdyż nie przypuszczali, iż Polacy ograniczą się na krótkiej nocie, no i nie spodziewali się również, aby opinja publiczna na całym świecie zajęła solidarne stanowisko. Prowokacją nazwano ich wystąpienie, wichrzycielstwem, podłością, która znów może narazić ludzkość na ciężkie terminy wojenne.



Sprawa ustawy o ubezpieczeniach społecznych wywołała szereg gwałtownych protestów w całej Francji. W manifestacjach wzięli udział robotnicy we wszystkich gałęziach przemysłu, a nawet midinetki paryskie.

A Treviranus z niezmąconym spokojem prowokatora dalej prowadzi swą grę... Po mowie — wywiad, a choć wydrukowano go w prowincjonalnem piśmie „Königsberger Allg. Ztg." — służba prasowa Ministerstwa Spraw Zagranicznych postarała się nadać enuncjacji pana ministra odpowiedni rozgłos. „Dążymy — oświadcza tym razem Trevironus — do sprawiedliwego rozwiązania sprawy korytarza. Wiem, że wielu wybitnych polityków zagranicznych, również i w Paryżu podziela nasze poglądy, iż jest to sprawa ogólno europejska. Nie zrozumiano moich słów, podsuwając mi myśl, że zagadnienie to należy rozwiązać na drodze wojennej. Sprawą tą powinna się zająć na razie Liga Narodów, potem należy zwołać konferencję zainteresowanych czynników. Nie ośmielam się powiedzieć, kiedy do tego dojdzie, ale likwidacja programu wschodniego jest obecnie po ewakuacji Nadrenji zagadnieniem aktualnem. Figuruje ona na porządku dziennym najbliższego programu Rzeszy."

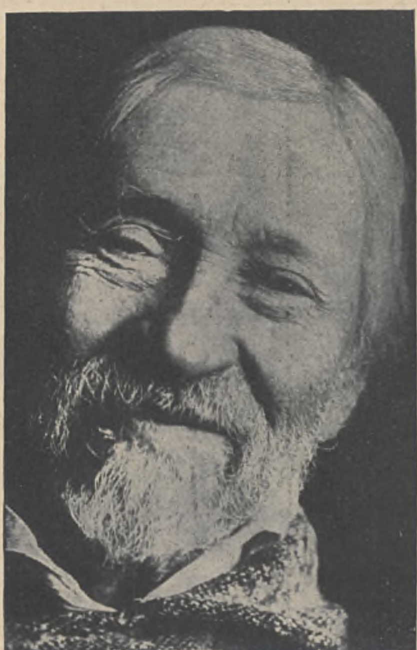


Pan Marszałek Piłsudski przyjął na specjalnem posłuchaniu delegatów Fidac'u

A że opinja Treviranusa nie jest odosobniona, ani też nie jest wyrazem sposobu myślenia pewnej tylko grupy narodu — dowodem artykuł jednocześnie opublikowany w „Germanji": „Oświadczenie ministra Treviranusa odpowiada oficjalnemu kierunkowi polityki niemieckiej, która w istnieniu art. 19-go widzi możliwość przyszłej rewizji granic. Przemówienie ministra Treviranusa, pomimo niektórych ujemnych stron ma to dobre, że z kwestji rewizji granic wschodnich uczyniło oś dyskusji międzynarodowej."

I o to właśnie chodziło. I to jest przyczyną, że niema pisma na świecie, któreby od szeregu dni nie poświęcało temu zagadnieniu całych szaplt—przyczem, o dziwo, wszystkie prawie jednogłośnie atakują Niemcy. W radykalnej nawet propaneuropejskiej „L'Oeuvre" czytamy ostry artykuł: „Jesteśmy zmuszeni oświadczyć panu Trevirenusowi, że taktyka jego sprowokować może chwilę, kiedy pewne problemy trzeba będzie rozwiązać siłą. Wy za to ponosicie odpowiedzialność. Zanotujemy to sobie i zapamiętamy. Jeżeli jesteśmy pacyfistami, to tylko przez rozsądek, a nie przez tchórzostwo. Jeżeli to będzie potrzebne, powtórzymy rok 1914. Chcielibyśmy, aby Europa uniknęła tego samobójstwa. Nie jesteśmy jednak sami na kontynencie.".

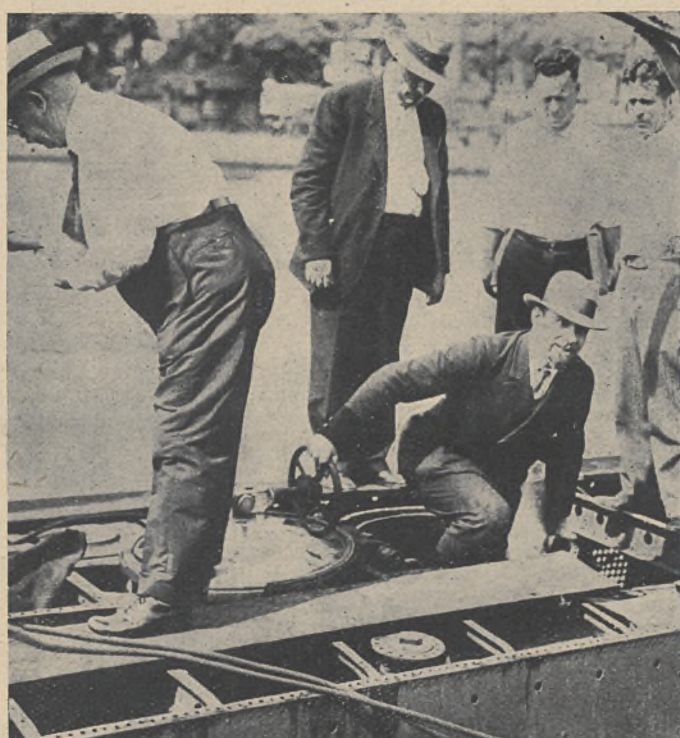
Narazić się na gniew pacyfistów — to bardzo źle, zapewne, ale nie o co innego chodziło Niemcom, jak tylko o to, aby sprawa korytarza stała się jak najbardziej głośną, aby w rozpętaniu namiętności wyłowić choć jeden punkt, na który będą mogli uderzyć i bić tak długo, aż nie ziszczą się ich plany na Wschodzie. Ofenzywa ich nie cofnie się przed niczem. Czuwajmy!



Słynny malarz Ilja Rjepin, twórca szeregu pięknych obrazów, zdobiących galerje rosyjskie, zmarł w sędziwym wieku w Moskwie.



W armji angielskiej wprowadzono specjalne aparaty mające ostrzegać ludność miast przed napadami lotniczemi



Sir George Wilkins dogląda osobiście przysposobienia podwodnej łodzi „O-12, na której zamierza dokonać wyprawy w okolice arktyczne.

300,000 $

Przed podjazdem olbrzymiego gmachu, mieszczącego w sobie biura „Bank of Europe“ zatrzymała się wielka szara limuzyna. Z podsienia przybiegł błyszczący złotem wyszywanej liberji portjer i uchyliwszy z uszanowaniem czapki otworzył drzwiczki auta, z którego wysiadł sir Arthur Thompson, naczelny dyrektor banku.

Po chwili winda zawiozła dygnitarza na drugie piętro, mieszczące gabinety dyrekcji. Wszędzie panowała cisza, nadająca temu przybytkowi powagi i godności. Bezgłośnie zamknęły się drzwi za sir Thompsonem, który zasiadł do swego olbrzymiego biurka i przycisnął guzik dzwonka.

Do pokoju wsunął się sekretarz, niosąc stos porannej poczty. Sir Thompson z powagą i namaszczeniem rozcinał srebrnym nożykiem koperty.

Dnia dzisiejszego nadeszły całe stosy najrozmaitszych cedul giełdowych, które sir Thompson z nabożeństwem przekładał.

— Akcje „Electric Company“ z Filadelfji znów podskoczyły o 5 punktów — mruknął sir Thompson.

— Tak jest panie dyrektorze. Meldowano mi, że trudno ich nawet uzyskać na giełdzie — odparł usłużnie sekretarz.

Sir Thompson zdawał się nie słyszeć odpowiedzi, przerzucał listy, czynił na nich notatki i polecenia, wreszcie rozciął ostatnią kopertę, na której widniał nadruk:

„Bank of Filadelfia“

a poniżej stempel poczty lotniczej.

Treść listu była następująca:

Sir Arthur Thompson
Bank of Europe
London.

Szanowny Panie dyrektorze. Powołując się na długoletnią współpracę Pana z nami, pozwoliliśmy sobie na zwrócenie się doń w sprawie osobistej, dotyczącej naszej instytucji. Jeden z naszych najstarszych prokurentów, pracujący u nas już przeszło od lat trzydziestu, został przez nas wysłany na giełdę, celem zakupienia tam pakietu akcyj „Electric Company“. Od tego czasu już go nie ujrzeliśmy więcej. Śledztwo policyjne wykazało, że zaginiony prokurent, nabywszy akcje wsiadł na okręt „Majestic“ i udał się do Europy. Niechcąc robić z tego głośnej sprawy, zwracamy się niniejszem do Wielce Szanownego Pana Dyrektora, z następującą prośbą, której, licząc na dotychczasową życzliwość pana do nas, mamy nadzieję pan nie odmówi. Chodzi nam o to, żeby Pan Dyrektor wydostał akcje z rąk naszego prokurenta, bez pomocy policji, odesłał nam odwrotnie pocztą lotniczą, a prokurentowi naszemu wypłacił 1.000 funtów szterlingów, którą to sumą zechce Pan obciążyć nasze konto. Niech Pan się nie dziwi naszemu postępowaniu, ale mając na względzie dotychczasową nieskazitelną pracę naszego prokurenta, oraz dwóch jego dorosłych synów, którzy pracują u nas i są wzorowymi pracownikami, niechcemy im łamać życia i karjery. Przy wręczaniu pieniędzy naszemu byłemu prokurentowi prosimy to uczynić wobec dwuch świadków, przy których przysięgnie, że noga jego nigdy nie stanie na gruncie amerykańskim. Były nasz prokurent nazywa się Edward Walden, jest średniego wzrostu, utyka na prawą nogę.

Łącząc wyrazy prawdziwego szacunku i zgóry dziękując za załatwienie tej tak niemiłej dla nas sprawy pozostajemy

Dyrekcja Banku.

Sir Arthur przeczytał list dwukrotnie; następnie zwrócił się do sekretarza:

— Proszę się dowiedzieć, kiedy przybywa do portu „Majestic“?

Sekretarz połączył się z biurem portu, skąd go poinformowano, że statek spodziewany jest między 14 a 14.30.

*

— Przepraszam, czy miejsce wolne?

— Proszę bardzo.

— Dziękuję uprzejmie.

Sir Arthur zajął fotel przy stoliku.

Naprzeciw niego siedział mister Edward Walden z Filadelfji. Wyśledził go sir Arthur w porcie, poczem udał się za nim dorożką, do hotelu „Atlantic“, sprawdził w książce hotelowej nazwisko śledzonego, poczem upewniwszy się, że się nieomylił, usiadł w hallu hotelowym, oczekując na Waldena.

W półgodziny później ujrzał Waldena schodzącego z góry i udającego się do restauracji na lunch.

Po zaspokojeniu głodu obaj panowie rozpoczęli rozmawiać:

— Podróżuje pan zapewne dla przyjemności?

— Tak. Chciałem zwiedzić trochę Europę, której nieznam.

— Musi być to wielkie szczęście tak podróżować dla przyjemności. Ja bo nieraz musiałem odbywać dalekie podróże, ale jedynie dla interesów.

— Jest pan zapewne kupcem?

— Ah! gorzej — bo bankierem.

— Świetnie się składa. Właśnie mam pakiet akcyj do sprzedania.

— Jakie akcje?

— „Electric Company“.

— Niezłe.

— A możeby pan kupił?

— Jaką wartość przedstawiają akcje?

— 300.000 dolarów.

— Za ile pan je chce sprzedać?

— Za połowę.

— 150.000 dolarów?

— Tak.

— Będzie mi miło, skoro Pan odwiedzi mój Bank. Będę pana oczekiwał dzisiaj o 4-tej.

— Stawię się punktualnie.

*

— Proszę, niech pan siada, powiedział sir Arthur, ukazując Waldenowi wygodny fotel.

— Dziękuję.

— Może pan pozwoli kieliszek whishy lub cygaro?

— Dziękuję. Na to będziemy mieli czas później, po załatwieniu interesu.

— Proszę bardzo. Czy mógłbym zobaczyć akcje?

Walden otworzył tękę i wyjął pakiet obwiązany sznurkiem.

Sir Arthur rozciął sznurek, przejrzał akcje, przeliczył, stwierdził, że liczba ich zgadza się, poczem z zadowoleniem ukrył je w biurku.

— Czy mogę udać się do kasy po pieniądze?

— Ah! to zbytecznie — odparł sir Thompson — załatwimy to tutaj na miejscu.

W tej chwili weszło dwuch urzędników. Sir Thompson wręczył im pakiet akcyj i powiedział:

— Proszę natychmiast odesłać te akcje do banku w Filadelfji, a temu panu pokazać list, któryśmy stamtąd otrzymali.

— Co to ma znaczyć — wykrzyknął Walden.

— Nic wielkiego. Pański bank zawiadomił nas tylko o pańskiej wycieczce turystycznej do Europy i prosił mnie o ułatwienie panu przesłania akcyj „Electric Company“.

Walden zbladł. Szybko obiegł pokój oczami. Zobaczył, że ucieczka jest niemożliwa. Obaj urzędnicy zamykali mu drogę do drzwi.

— Zapewne każe mnie pan zaaresztować — wyjąkał drżącemi wargami.

— Ależ nic podobnego. Postąpię w myśl instrukcyj pańskich byłych przełożonych. Oto 1.000 funtów szterlingów. Wręczam je panu, ale pod warunkiem, że pan więcej do Ameryki nie powróci. Czy pan się zgadza na to? W przeciwnym razie oddam pana w ręce policji.

Walden zesztywniał niemal, ze zdumienia. Stracił przez chwilę zdolność logicznego myślenia. Wreszcie, po chwili, zaczął bełkotać:

— Dziękuję... nie spodziewałem się... nie chcą mnie gubić... Boże, co ja zrobiłem...

— Niech się pan uspokoi panie Walden. Każdemu może się noga powinąć. Mam nadzieję, że te 1.000 funtów, pozwolą panu do rozpoczęcia, chociaż na starość, uczciwego życia. Jest pan wolny.

Walden wziął pieniądze, podniósł się powoli z fotela, zachwiał się, jakby miał zemdleć, poczem z głową opuszczoną wyszedł z gabinetu, przeprowadzony współczującym wzrokiem sir Thompsona.

*

Kabel — Londyn — Filadelfja.

„Bank of Filadelfja“ — Filadelfja. Tranzakcja pomyślnie załatwiona. Prokurent Walden zatrzymany. Akcje wysłano pocztą lotniczą. Waldenowi wypłacono 1.000 funtów. Rachunek obciążony.

Thompson.

*

W trzy dni później.

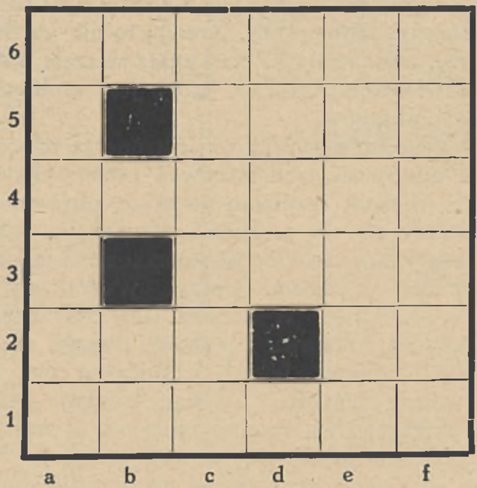
Kabel — Filadelfja — Londyn.

„Żaden z naszych prokurentów niewysłany do Europy. Nadesłane akcje są fałszywe. Waldena nieznamy“.

„Bank of Filadelfja“.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



WYRAZY PIONOWE

a6 Ptak
b2 Nuta (wspak)
c6 Imię żeńskie
d6 Waga opakowania
e6 Nieduży kram
f6 Łuk

WYRAZY POZIOME

a6 Rodzaj więzienia
c5 Aktor filmowy polski
a4 Rodzaj pojazdu (wspak)
c3 Gatunek zwierzęcia
a2 Przysłówek (wspak)
e2 Zaimek (łac.)
a1 Półwysep

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki i arytmogryfu z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 złotych

oraz 2 książki beletrystyczne. Rozwiązywania nadsyłać należy pod adresem redakcji z napisem na kopercie: „Rozrywki umysłowe". Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 3 września.

ARYTMOGRYF

1, 2, 1
3, 4, 2
5, 6, 7
3, 8, 9
9, 10, 11
8, 6, 12

Cyfry zastąpić literami. Początkowe i końcowe litery słów utworzą imiona (nazwiska) wielkich artystów.

ZNACZENIE SŁÓW

1. Nazwa słynnej sztuki Karola Zapka
2. Wiersz japoński (wspak)
3. Wróg (czegoś lub kogoś)
4. Spójnik
5. Przeczenie (wspak)
6. Fatum

PARTJA

z turnieju szachowego o Puhar lorda Hamilton'a Russel'a, grana w Hamburgu w dn. 26 sierpnia b.r.

Białe: Asmundur Asgeirsson — Islandja
Czarne: K. Makarczyk — Polska.

1. e2—e4 e7—e5
2. Gf1—c4 Sg8—f6
3. Sg1—f3 Sf6×e4
4. Sb1—c3 Se4×c3
5. d2×c3 f7—f6!

Za cenę piona białe uzyskały silny atak.

6. Sf3—h4! g7—g6
7. f2—f4!

Szóste i siódme przesunięcia białych są o wiele energiczniejsze od stosowanego dotychczas w tej pozycji 6.0-0.

7. .... c7—c6!
8. f4—f5! d7—d5!
9. f5×g6!! Gf8—g7!!

Przyjęcie ofiary pociągnęłoby za sobą zgubę, gdyż białe zagrałyby 10. Hd1—h5!

10. Gc4—e2.

Lepiej było 10. Hd1—h5! na co czarne mają do wyboru bardzo ryzykowne h7×g6 lub ostrożne h7—h6.

10. .... f6—f5!
11. g2—g3 h7—h6
12. Ge2—h5 Gc8—e6
13. Wa1—f1 0—0
14. Hd1—e2 Sb8—d7
15. Gc1—d2 Sd7—c5
16. 0-0-0 Sc5—e4

Czarne rozwinęły doskonale swoje siły i wkrótce przejdą do działań zaczepnych

17. Kc1—b1 Se4×d2+

Wymiana gońca wzmacnia pozycję króla i gońca czarnych.

18. Wd1×d2 Hd8—g5
19. Sh4—g2 Wa8—e8
20. Wd2—d3 c6—c5
21. h2—h4 Hg5—d8
22. Wd3—d2 Hd8—a5
23. a2—a3 d5—d4
24. c3×d4 c5×d4!

Otwiera linję dla wieży i nie dopuszcza skoczka do f4.

25. Wd2—d1 Ha5—d5!
26. b2—b3 Hd5—c5!
27. Kb1—a2 We8—c8
28. Wf1—f2 Wc8—c6
29. Ka2—b2 Wc6—a6
30. a3—a4 e5—e4

Białe poddały się, gdyż tracą conajmniej wieżę.

A. HR. KLINCKOWSTROEM.

„Świątynia zdrowia" James'a Grahama

Okres końcowy 18 stulecia przedstawia z punktu widzenia historji ducha obraz zadziwiającego dualizmu. Obok filozoficznego krytycyzmu charakteryzującego „wiek oświecenia" rozwija się również mistycyzm, dający możność najróżniejszym szarlatanom, awanturnikom i jasnowidzom szerzenia swych praktyk wśród rosnących zastępów wierzących. Dzisiejsi spirytyści są poniekąd odpowiednikiem ówczesnych zwolenników — Swedenborga, Schropfera (wywoływacz duchów), patera Gassnera (egzorcysta i lekarz-cudotwórca), Cagliostra lub Mesmera; zwłaszcza jasnowidzący lunatycy Mesmera i jego uczniów odpowiadają najściślej medjom dzisiejszej doby, decorum wszelako było nieco odmienne.

Jedną z najwybitniejszych indywidualności tego rodzaju był „doktór" James Graham (ur. w 1745), który potrafił obudzić ciekawość wśród zamożnej publiczności, a nawet w wyższych i najwyższych sferach pozyskał klientelę. Mówił o sobie, iż studjował medycynę w Edinburgu, co zdaje si być prawdopodobnem, czy jednak skończyl nauki, pozostaje otwartem pytaniem. Około roku 1770 praktykował w Filadelfji, gdzie poznał Benjamina Franklina, którego doświadczeniami z elektrycznością żywo się zainteresował. W 1774 widzimy go znowu w Anglji, a w 1780 zaliczał on do swoich pacjentów i uczniów członków najlepszego towarzystwa londyńskiego. W tymże roku otworzył Graham w Londynie przy Royal Terrace w nowym domu, zbudowanym według własnych wskazówek swoją „Świątynię Zdrowia", którą rozreklamował szeroko *i* pierwszorzędnie urządził przy olbrzymim nakładzie kosztów. Nad portalem widniał na białem tle napis złotemi literami: *Templum Aesculapio Sacrum*. Ogłoszenia o otwarciu zredagowane były w sposób następujący:

„Bestina, różowa bogini zdrowia, przewodniczy wieczornemu odczytowi w Świątyni Zdrowia, Adelphi, przygląda się grze niebieskich meteorów i czuwa nad świętym ogniem życia, którego stosowaniem przy leczeniu chorych kieruje ona codziennie. Pokaz i demonstracja aparatu ma miejsce w ciągu całego dnia przy pomocy urzędujących stale młodszych kapłanów.

W Świątyni Zdrowia znajdował się szereg pokojów przeznaczonych na zabiegi, odczyty, oraz na sporządzanie tajemnych środków leczniczych Grahama. Najpiękniejszym a zarazem najbardziej tajemniczym zakątkiem domu był „*Great Apollo Apartment*", sześciokątna sala, z ciężkiemi obiciami ze złotego brokatu, z plafonem, przedstawiającym sklepienie niebieskie, usiane złotemi gwiazdami. Pośrodku stał na złotym słupku — naturalnej wielkości posąg bogini płodności, która ze złotego rogu obfitości sypała kwiaty i owoce na otaczające ją zastępy dzieci. Głównym meblem jednak było *łoże niebiańskie, czyli łoże płodności;* 12 stóp długie, 9 stóp szerokie, stojące na 40 szklanych nóżkach, w złotą siatkę ujęte i pokryte, jakby w celach uwodzicielskich, jedwabnemi kołdrami i poduszkami. „Przy sporządzaniu niebiańskiego łoża, nie zostało użyte żadne pierze", powiada Graham. „Materace napełnia się co jakiś czas wonną słomą, pomieszaną z balsamicznemi roślinami, różanemi listkami, kwiatem lawendy i korzeniami wschodniemi". Graham sam w entuzjastycznych wyrazach opisuje swoje cudowne łoże. Potrójnie odzwierciedlające lustra, zapachy, dyskretne symfonje barw, mieniących się na życzenie, cicha muzyka, łagodnie kołyszący ruch łoża i mocny sztuczny magnes miały jakoby, dzięki wyrafinowanemu zestrojeniu harmonji — wprowadzać użytkujących łoże w stan upojenia nad wyraz słodkiego, co byto gwarancją niebywałej piękności dzieci w łożu tem poczętych.

Graham dał dowód dużej zręczności, zapewniając sobie przy swych demonstracjach współudział najpiękniejszej dziewczyny w Londynie: była to wówczas dwudziestoletnia Emma Lyon-Hart, późniejsza Lady Hamilton, której wyłącznem zadaniem było pokazywać się bez odzieży, lecz z zasłoniętą twarzą, kłaść się na łoże, ilustrując tem sugestywnie wykład mistrza. Otrzymywała za to 5 funtów miesięcznie. Powodzenie było niebywałe: publiczność żądna wrażeń cisnęła się na demonstracje Grahama, a skończona piękność młodej dziewczyny w zachwyt wprowadzała znawców i artystów. To intermezzo było początkiem karjery dawniejszej pokojówki, której wdzięki zostały nam przekazane przez pędzel George'a Romney'a, Reynoldsa, pani Vigée-Lebrun.



Lady Hamilton — reprodukcja z jednego z licznych portretów pędzla wielbiciela jej Romney'a.

Rozgłos Grahama rósł; święcił on tryumfy w najwyższych kołach towarzyskich. Gdy naprzykład król Jerzy III angielski zapadł pewnego razu na atak obłędu, otrzymał on od Grahama przeciw „złym wyziewom", będącym rzekomą przyczyną choroby, odpis modlitwy, którą kładło mu się na noc pod poduszkę. Stan zdrowia króla poprawił się nieco i wkrótce potem zapowiedział swą wizytę w Świątyni Zdrowia sam książę Walji. Graham handlował różnemi środkami tajemniczemi, za które kazał sobie drogo płacić: sprzedawał balsam na nerwy, *eter elektryczny, imperial pills itp.* Niektórzy pacjenci byli leczeni za pomocą *elektrycznego tronu*, przez który przechodził prąd w miarę potrzeby. Uprawiał również kuracje magnetyczne za przykładem i systemem Mesmera. Paszkwile i napaści, których był przedmiotem reklamowały go nader skutecznie.

Graham pozostawił wiele trafnych wskazówek leczniczych; między innemi dzisiejsze przyrodolecznictwo od niego się wywodzi.

Graham zmarł w swojem rodzinnem mieście, Edinburgu, w 1794 w 49 roku życia.

Na Kahlenberg

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Tego dnia najzupełniej przypadkowo zwiedzałem jeszcze jeden kościół. Nie pamiętam dokładnie ulicy. Zresztą to nie jest istotne. Sedno sprawy tkwi zgoła w czem innym. Zwiedzałem kościół, który jest grobowcem Habsburgów.

Już przy samem wejściu uderza mię cisza i dostojność tych murów. Tłum ciekawych w wielkim skupieniu oczekuje możności dostania się do podziemi. Panuje tu, rzadko widywana, schludność i porządek. Zjawia się mnich z pękiem kluczy. Wchodzimy do grobowców. W szeregu sal ustawione są rzędem metalowe i brązowe trumny, obłożone wieńcami. Mnich rozpoczyna swą normalną czynność. Głosem niskim, pełnym smutku i żalu, kolejno zapoznaje z przeszłością zmarłych.

Wreszcie dochodzimy do trumny ustawionej na podniesieniu. Tu przewodnik chwilą ciszy skupia naszą uwagę. Długo i płynnie mówił o zmarłym. Pada imię Franciszka Józefa. Niema słów dla jego zasług i mądrości. A kiedy skończył swą długą pochwalną tyradę, zaapelował do zebranych temi słowy:...

„Proszę wszystkich o złożenie czci, przez zmówienie modlitwy, wielkiemu cesarzowi wielkiej Austrji, Franciszkowi Józefowi, który nie doczekał sromotnej chwili rozpadnięcia się naszej Ojczyzny".

Tego rodzaju agitacja w obliczu majestatu śmierci nie wydawała mi się odpowiednią. Nie mniej musiałem uznać kult, z jakim zarówno mnich, jak i większość zwiedzających odnosiła się do zamkniętych w grobowcu szczątków.

Uczyniłem w myśli zestawienie dwóch widzianych jednego i tego samego dnia, w tej samej miejscowości, obrazów.

Na Kahlenbergu gość jest rzadkością, w grobowcu stale tłumy.

Nie podobna bez przykrości stwierdzić tego faktu.

Nie mam nic przeciw temu, by Austrjacy tłumnie składali hołdy swemu b. cesarzowi. To jest ich rzecz i czynią tak, jak chcą, zgodnie z sumieniem, wiarą czy potrzebą.

Natomiast wyrażam wiele zastrzeżeń przeciw obojętności wobec Kahlenbergu.

Polski turysto! kiedy droga twoja prowadzić będzie przez Wiedeń, nie omieszkaj, pokonawszy zmęczenie czy niechęć, odwiedzić Kahlenberg i tam, w kościele — pamiątce po jednym z największych Polaków, jakich wydała historja — sięgnij przez chwilę myślą wstecz, czerpiąc z tych czasów podnietę do pracy dla mocarstwowego rozwoju Polski!

O Kahlenbergu Polakom zapomnieć nie wolno!

Zawartość jodu w rybach

Dr. Culbrand Lunde, dyrektor laboratorjum naukowego norweskiego przemysłu konserwowego, dokonał wartościowego odkrycia dotyczącego zawartości jodu w rybach. Dr. Lunde przekonał się po wielu wyczerpujących badaniach, że ryba norweska zarówno w stanie surowym, jak też i konserwowana, zawiera w sobie znaczne ilości jodu. Następnie dr. Lunde stwierdził, że pożywienie z ryb jest skutecznym i pewnym środkiem chroniącym przeciwko chorobie wola, w tych okolicach gdzie się ta choroba szerzyła. Te odkrycia mają ogromne znaczenie dla przemysłu konserw rybnych.

Prenumerujcie „7 DNI"



Dusia Sozonowiczówna.
(fot. Petrys)

Turniej „7 DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

Warunki turnieju

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



Nobisówna
(fot. Dorys)

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Kto jeszcze nie widział p. Juli Kraszewskiej, ten wogóle jeszcze nic nie widział! Zachwycające są i inne kandydatki, lecz moja — jest uosobieniem wszystkich czarów. Ostrzegam przed lekkomyślnem głosowaniem, a p. Jana Rudnickiego, artystę-malarza, proszę już o naciągnięcie płótna na portret mojej kandydatki.

M. P.

Nie wątpię, że czarująca Ninka Nobisówna, swym wdziękiem oczaruje falangę czytelników „7 Dni", którzy, rzecz prosta, jedynie tylko na nią głosować będą. Pierwszy ja w tej materji oddaję swój głos.

Adorator.

Jestem zdania, że p. Dusia Sozonowiczówna w zupełności zasługuje na to, by zająć pierwsze miejsce w konkursie. Jej wdzięk, uroda i prawdziwie naturalna dziewczęcość podbija każdego, który ją tylko raz ujrzy.

„Wielbiciel".



Jula Kraszewska.

Kupon № 8 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.

Impresje teatralne

„Morskie Oko": „Bawmy się razem...", rewja w 2 aktach.

Iść na tę rewję do „Morskiego Oka" trzeba koniecznie, aby ujrzeć fenomenalne popisy taneczne rewelacyjnego „człowieka z gumy", niedoścignionego Sherriera. Co ten tancerz wyrabia, to już poprostu przekracza granicę wyobraźni ludzkiej. Oczywiście, bisuje bez końca...

Najdowcipniejsze scenki przypadły w udziale Walterowi, wyśmienitemu zwłaszcza w roli fryzjera, czeszącego swą czarującą koleżankę, Anielę Miszczykównę, która wywiązała się ze swego zadania niemego i mówionego bez zarzutu.

Jak zawsze na wysokości zadania była niosąca tym razem niemal cały ciężar rewji na sobie, Janina Sokołowska, dobrze spisali się również: Nowicka, Sielański, Sempoliński, Roland i Kucharski. „Girls" są zachwycające i bardzo zdolne... do wszystkiego, oprócz tańca...

Miły jest obrazek walcowy, dający wdzięczne pole do popisu arcyznakomitemu duetowi Ney. Ina Ney pokazuje tam niesłychanie trudne „entrechat douze" i potrójny piruet kręci jakoby nigdy nic...



Fenomenalny Sherrier robi „grand ecart croisé" na kolanach.

Jest w tem, coprawda, mały „kant", bo sama robi tylko „szóstkę", następnie w podskoku chwyta ją partner i drugą „szóstkę" robi już na rękach partnera, ale ponieważ przerwy niema, ma się wrażenie całkowicie samodzielnego „entrechat douze". Wogóle zachwycająca jest ta Inka!

Gdyby pozostała na scenie Teatru Wielkiego, byłaby, jak się okazuje, poważną konkurentką obecnych primabalerin...

Miłą inowacją jest rasowe trio Rapackich. Trzeba stanowczo zatrzymać na sezon to wielce utalentowane rodzeństwo wnucząt niezapomnianego Wincentego Rapackiego. Znaleźliśmy w zespole „girls" nowicjuszkę, Irenę Przesmycką, artystkę b. utalentowaną, zasługującą na poważne i indywidualne traktowanie.

Reżyser Walden z pewnością będzie dobrze reżyserował skecze, pisane przez dowcipniejszych, niż tym razem, autorów. P. Jewniewiczowa popisała się znów szeregiem prześlicznych kostjumów, gustownych dekoracji i dziurą w gitarze. Ale nie szukajmy dziury na całem... Jak na lato — można wytrzymać...

Henryk Liński.



Zespół „girls" Morskiego Oka został uzupełniony utalentowaną tancerką z Teatru Wielkiego — Ireną Przesmycką. (fot. Brzozowski)



Brodzisz i Bodo w roli oficerów niemieckiej łodzi podwodnej.

Na ekranie

„Wiatr od morza". Pierwszy polski film dźwiękowy o morzu w Polsce.

Szybko postępują prace realizacji polskiego filmu morskiego p. t. „Wiatr od morza". Cały zespół przebywa obecnie w Gdyni, gdzie nakręcane są sceny plenairowe, poczem rozpocznie się praca w atelier. Wersja niema filmu zakończona będzie przed 1 września. Wersyj dźwiękowych będzie dwie — polska i angielska.

Popularni artyści, Brodzisz i Bodo, ukażą się jako przyrodni bracia — Ryszard i Otto Affberg — oficerowie niemieckiej łodzi podwodnej. Konflikt psychologiczny, oparty na różnicy ras obu braci, z których jeden jest polakiem po kądzieli, a drugi prusakiem czystej krwi, doprowadza do kulminacyjnego punktu napięcia. Końcowe sceny walki dwóch braci, gdy Ryszard pragnie ocalić handlowy transportowiec francuski, którego zagłady pożąda Otto — będą niezapomnianemi chwilami polskiego filmu.

Na tle burzliwych dziejów walki podwodnej, min, torped, ognia wojny, zarysowuje się wspaniale postać wcielenia anioła Pokoju — Marji Malickiej w roli Teresy. Jak się okazało, głos popularnej aktorki jest tak samo „fotogeniczny", jak i cała jej postać. Boston, śpiewany przez Malicką, będzie niewątpliwie największym przebojem dźwiękowym sezonu. Wogóle część dźwiękowa filmu będzie stała na najwyższym poziomie. Słowa do wszystkich pieśni napisał Marjan Hemar, muzykę — świetny muzyk Jan Maklakiewicz.

Realizatorzy scenarjusza starali się z największym realizmem odtworzyć sceny batalistyczne oraz życia polskiego Pomorza pod uciskiem pruskim w czasie wielkiej wojny. Sceny mobilizacji w wiosce kaszubskiej odegrane zostały przez miejscową ludność z niezwykłem przejęciem. Przez cały dzień filmowali mieszkańcy zapadłej wioski rybackiej pod komendą reżysera Kazimierza Czyńskiego. Podczas zdjęć, na miejscu obecni byli autorzy scenarjusza, Wacław Sieroszewski i Anatol Stern, opiekując się stroną artystyczną i literacką filmu.

Realizatorzy „Wiatru od morza" nie szczędzili kosztów. W stoczni gdyńskiej wykonano specjalne szkielety łodzi podwodnej i okrętu. W scenach zatapiania transportowca udział wziął, goszczący w porcie gdyńskim, transportowiec francuski „Virginie".



Wstrząsające sceny mobilizacji w wiosce kaszubskiej.



— A ładna, szelma... Wartoby ją zaangażować. Co?...
— Już załatwione...
— A czy umie pisać na maszynie?
— Nie sprawdzałem — bo i poco stwarzać trudności?...

Zwarjowane zakłady i rekordy warjatów



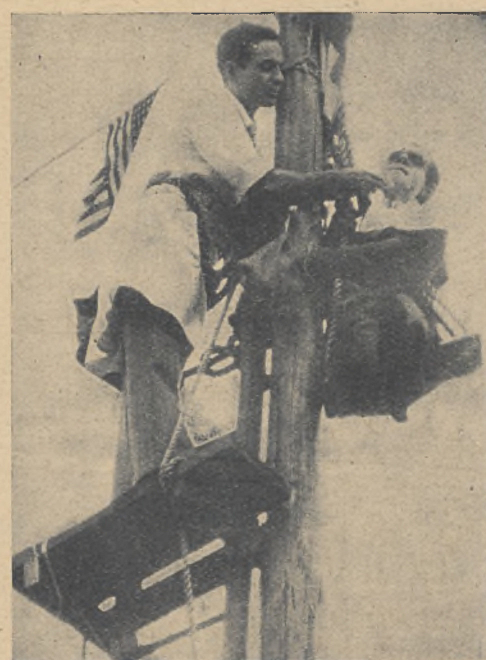
Harold Reuss, którego widzimy tu wdzięczną postać, jest asem tańca i pobił wszelkie rekordy, popisując się w ciągu 150 godzin bez przerwy.



Niejaki André Dargo zwarjował na 56 roku życia, bo oto, porzuciwszy warsztat pracy, której się pilnie oddawał — bednarstwo, puścił się w podróż naokoło Francji, pchając przed sobą olbrzymie koło o średnicy 1 m. 60 cm. i ważące 43 kg.



„Mistrz świata" w jedzeniu racuchów. „Super-żarłok", Jack Skurotosaki, zjada 36 racuchów w 45 minut.



33 dni na maszcie — oto rekord „genjalnego" Amerykanina, Ralfa d'Agostino.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.